

Marek Głowacki

część III z III

Sygnatura notacji: **N0054**

Data urodzenia: **30.06.1961 r.**

Data nagrania: **10.11.2021 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 54 min, część II: 42 min, część III: 70 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Marek Głowacki: Oprócz grup to też wszyscy mieli inną działalność. U nas też się rozkręcała. Ja powiem nawet szczerze, że już miałem dosyć tego ulotkowania. Ile można ulotkować? Wychodzić na ulicę i rzucać te ulotki. W pewnym momencie po prostu miałem tego już dosyć. Znudzony byłem tym. No może złe słowo, ale już mi się nie chciało po prostu. Chociaż była jedna taka akcja, pamiętam, już pod szyldem NZS-u, bo też dla NZS-u rzucaliśmy ulotki, ale współtworzyliśmy tam w jakimś stopniu ten podziemny NZS. To zresztą bardziej zawiła sprawa. Ale w każdym razie pamiętam, że była taka akcja warszawskiego NZS-u, nas tam zaprosili też jako chłopaków z politechniki, tam kręcił wtedy tym... głównym inicjatorem był taki Tomek Ziemiński, on był w NZS-ie podziemnym Uniwersytetu, którego wówczas znałem jako „Mikołaja”, a to była też ksywka, ale dzisiaj wiem, że to Tomek Ziemiński. No i właśnie było takie spotkanie, żeby na rocznicę NZS-u sygnąć na Warszawę trochę ulotek, międzyuczelnianych. I po prostu wtedy się zorientowałem, że to, co dla nas jest bułką z masłem, to dla niektórych to jest problem, to rzucanie ulotek. Bo się okazało, że uzgodniliśmy, wszystko zostało wydrukowane, rozdzieliliśmy to w proporcjach, które zostały uzgodnione, po tych uczelniach no i jeden z kolegów przyjeżdża do mnie dwa dni przed tym, że, no kurcze, nawalił im ktoś, nie mają rzuconych w ogóle tych ulotek. No to my po prostu wzięliśmy te ulotki, wsiedliśmy w tramwaj, sygnaliśmy tam raz, drugi, trzeci, w trzech miejscach, uzgodnionych z nimi, bo to chodziło o to, żeby było przed Uniwersytetem albo w rejonie Uniwersytetu. Dla nas to była po prostu bułka z masłem. To było coś, co robiliśmy po prostu często i jakby mieliśmy wprawę. Nie dla każdego tak było, nie dla każdego. Ale właśnie przejdę do tych innych działań. W zasadzie to też ten NZS to trochę inne działania już, chociaż Klincewicz też nam dawał w swoim czasie ulotki na rocznicę NZS-u, bo przecież Klincewicz to wywodził się z NZS-u. To był wiceprzewodniczący NZS-u krajowego chyba. No dobra, nie będę brnął. Grupa właśnie Waldeczków była bardzo mocno kojarzona właśnie ze środowiskiem studenc-

kim. No to jest też zagadnienie. To jest też zagadnienie, może powiedziałbym, do zbadania. Nasza ekipa najpierw wywodziła się ze środowiska studenckiego. Później dołączyła do niej silna grupa, która właściwie zdominowała Waldeczków, chłopaków z Grochowa, z liceów, z różnych tych, i oni później grali główne skrzypce, my byliśmy trochę z doskoku. Tym bardziej, że Witek, pierwszy szef, się wycofał do innej działalności, jak się później okazało, a stery przejął Wojtek Nachiło, który też przyjął taki sam pseudonim, i stąd te Waldeczki. Czyli to była ekipa studencka. Klincewicz to był facet z NZS-u. W jego zapleczu było wiele osób z NZS-u, studentów, wiele. Powiem szczerze, że ponieważ to zaplecze to jest takie płynne, to trudno to określić, ale z pewnością wiele osób... Ale później to nie tylko były środowiska studenckie, tego również były środowiska... i nie tylko z Politechniki Warszawskiej, bo przecież Klincewicz był rodem z Politechniki Warszawskiej, ale byli studenci oczywiście i z Uniwersytetu, i z innych uczelni, ale były i inne środowiska, tak jak część Waldeczków to byli licealiści, tak gdzieś dominowały ekipy robotnicze bardziej czy jakieś mieszane. Tak że można założyć, że początki, których ja dobrze nie znam, były w środowisku studenckim, a później rozwinęło się to w szerszy ruch, jeżeli o to chodzi. Natomiast jeszcze wracając do tej konspiry takiej ogólniejszej, troszeczkę już jakby te kontakty się rozluźniły, chociaż cały czas były, z grupami, a w szczególności moje osobiście to z Waldeczkami, i zaczęliśmy trochę więcej innych rzeczy kręcić. A to druk, a to kolportaż, a to... I druk, no tutaj ta konspira, i to jest nasze dzieło. „Konspira” i „Myśli staroświeckiego Polaka”. to są reprinty oczywiście. I Bis, wszyscy uważali, że Bis to są reprinty, natomiast to nie jest prawda, bo to była zaszyfrowana nazwa „Babilon i Stasiek”. Tak to nazwaliśmy sobie, trochę kpiąco, bo my w Babilonie, czyli w akademiku, Domu Studenckim Babilon, robiliśmy to wydawnictwo, które później szybko upadło, po trzecim tym nastąpiła wpadka i już nie kontynuowaliśmy tego, a Stasiek to był facet, który załatwiał dojście, bo my nie mieliśmy swojej drukarni, to było tak zwane drukowanie na dojściu. I Stasiek załatwiał dojście, i stąd było „Babilon i Stasiek”. To było nasze wydawnictwo, które..., powiedzmy sobie, trzy książki wydaliśmy, „Polska zgwałcona” Mikołajczyka, „Konspirę” i „Myśli staroświeckiego Polaka”. Ja wpadłem u Staśka na kotłę i uznałem, ponieważ Stasiek jeszcze później chciał jakby, bo ja dostałem tam kolegium, natomiast to też osobna historia, w każdym razie nie miało to jakichś wielkich konsekwencji. To już były późniejsze lata i to inaczej wyglądało, już aresztowanie, natomiast ze Stasiem już nie chciałem pracować, on był zbyt mało ostrożny i on jeszcze chciał kręcić następne książki, ale powiedziałem: „Dziękuję, Stasiek, jak do ciebie te esbecy jak muchy do lepu przychodzą, to ja już z tobą nie będę współpracował”. Tak że tak się zakończyło wydawnictwo Bis, troszeczkę... Ale parę książek wydaliśmy, gdzieś tam poszły. To jest taka nasza inicjatywa, nie za mocna, ale jednak tam coś było. Natomiast w Babilonie, bym powiedział, to był nasz matecznik, i mieliśmy tam między innymi bibliotekę, nad którą pracowała cała nasza ekipa. Kupowaliśmy niezależne książki i była biblioteka zorganizowana. Jedna dziewczyna miała te wszystkie książki w szafie, kilka osób, dosłownie trzy czy cztery, wiedziały, kto to jest, i do tych trzech czy czterech osób następne ileś się tam mogło zgłosić, i do tych następnych jeszcze ileś, no i w ten sposób były wypożyczane i zwracane te książki. – I biblioteka się znajdowała w akademiku? – Tak. Biblioteka znajdowała się w akademiku, prowadzona była bardzo długo. Generalnie pomysłodawcami byli Andrzej Dusiński i Marek Więzowski i pierwsze książki tam prowadzili, i później my to dalej ciągnęliśmy, uzupełnialiśmy i tak dalej. To jest biblioteka. W tym momencie u nas... My zorganizowaliśmy przez jednego właśnie z tych kolegów, których wymieniłem, Marka Więzowskiego, drukarnię Kosa, również w Babilonie. Tak że Babilon to po prostu... A to jeszcze nie wszystko. Drukarnię Kosa, i prowadzi ją mój koleżka, który wycofał się z grup, bo powiedział wprost, że jego to za bardzo spala i tego robił nie będzie. I prowadził te sprawy zewnętrzne do drukarni. A drukarnia była w jednym z pokoi po prostu i trzeba było wrzucić tam raz na dwa tygodnie odpowiednią ilość rys papieru, oczywiście wcześniej diapozytywy, wcześniej

były przygotowane ramki, oni sami już naświetlali i drukowali. I mieli na to trzy dni. Ma wyskoczyć tam, nie wiem czy dobrze pamiętam, ale wydaje mi się, że 1500 sztuk na sicie zrobionych gazet Kosa. I tak się to kręciło. Chłopaki nigdy nie wpadli. Funkcjonowało to, aż zostało rozwiązane. Tak że drukarnia Kosa, na sitodruku, techniką sitodrukową. Jeszcze w tym uczestniczyłem, bo czasami to tak było... Bo na przykład jeden z kolegów zachorował, to ja go zastępowałem. Znałem tę technikę też, sitodruku. Zostałem z nią zapoznany i tam sam też wiedziałem, jak się tłucze na sicie. Później byłem też między innymi ekspertem..., żaden ekspert oczywiście, po prostu wiedziałem jak to się robi, ale ekspertem dla tych chłopaków z „Misia”. To było takie też wydawnictwo studenckie, Międzyuczelniany Informator Środowiskowy, zdaje się, to był skrót. I pamiętam, że jak zaczynali, to coś im nie wyszło i do mnie w nocy jeden przyjechał, mówi: „Chodź, coś musisz może pomóc, bo nie wychodzi nam”. I rzeczywiście udało mi się pomóc, chociaż tak jak mówię, nie byłem tutaj żadnym specem, ale po prostu wiedziałem jak to się robi. Tak że kolejna inicjatywa to był ten „KOS”, który tam był tłuczony, kolejna inicjatywa to jest ta skrzynka, na którą wchodziło i z której wychodziło mnóstwo książek. To z kolei prowadził też Zbychu, i razem z tym kasę, bo książki już były odpłatne, tak samo zresztą tak zwana konfekcja, czyli te różne gadżety, widokówki, kartki świąteczne, bo to wtedy było płatne, no i celem tego między innymi... Czy te znaczki pocztowe. Celem tego między innymi było pozyskanie funduszy na działalność organizacyjną.

Artur Kłus: Ale ta kasa, o której pan mówi, i to prowadzenie właśnie finansowych, odpłatnych usług, to to wszystko w akademiku się działo?

Marek Głowacki: Tak. Tak. To tak samo. To kolejna sprawa. To zawsze było tak, że to było w komis. To było zawsze w komis. Ile chcesz? Jest taka i taka książka. Daj 20. No dobra. I za dwa tygodnie przychodził, i jak się sprzedają, to dostała potrącone o naszą..., jak to nazwać? Nazwijmy to prowizją. O naszą prowizję za prowadzenie. Tak że tak to funkcjonowało. W niektórych rzeczach, bo na przykład prasa generalnie była bezpłatna i przez naszą skrzynkę też przychodziło mnóstwo prasy, mnóstwo, z wszystkich kierunków, we wszystkich kierunkach, z innych miast również. Mieliśmy bardzo dużo kontaktów. To prasa była bezpłatna, przynajmniej ja nie kojarzę w tej chwili płatnego tytułu, tylko były dobrowolne wpłaty, które później, na końcu numeru, były wyszczególniane. Zdychu: 500, tamten... i tą samą drogą, którą się wydało gazetę, ktoś przekazywał, to ja czytam już i fajna gazeta, czytam już od pół roku, to ja wpłacam 500. I tak to wyglądało. To takie wpłaty w ten sposób wracały. No i trochę to oczywiście pomagało tam w jakiś sposób finansowy. I oprócz tego, powiedzmy sobie tak, jeden lokal, drugi lokal, trzeci lokal, bo to biblioteka, czwarty lokal w Babilonie to był szefa Waldeczków, czyli Witka, tam też niezły młyn był, piąty lokal to był lokal Andrzeja Dusińskiego, i tam też dział się kolportaż, to wiedziałem o tym, ale nie wnikałem oczywiście w to, co i jak, i kolejny lokal, który ja znałem, w jednym akademiku, to był Jędrusia Kalaty, który też oprócz tego, że razem rzucaliśmy ulotki, to też miał jakiś kolportaż. I to tylko ja jeden znałem. Ale ciekawe jeszcze, ile było więcej. bo to na pewno były. To na pewno były. Jakie to było, akie to było to środowisko studenckie, jakie to było wielkie ognisko antykomunizmu. Jakie to było po prostu... Tam dudniło po prostu nieprawdopodobnie. A jak do tego wszystkiego podchodziły właśnie, nie wiem, władze akademika, władze uczelni, – Znaczą..., – wykładowcy? Ja powiem tak, my tam wiedzieliśmy wszystko, i między innymi ja też zresztą w pewnym momencie... Na przykład przyjęliśmy Radę Mieszkańców i mieliśmy dodatkowy lokal. W wyborach, bo to były wybory. Ja pamiętam, że byłem też kandydatem, zostałem wybrany, i szefem był też od nas chłopak, i mieliśmy po prostu dzięki temu lokal, bo Rada Mieszkańców miała lokal i mieliśmy

lokal konspiracyjny dzięki takim wyborom, na spotkania, taki większy trochę, swobodny, bo tak w pokoju to zawsze ktoś mógł wejść, tam coś się spytać i to trochę się robi niezręcznie. A tam był na boczku taki lokal... Tak że tak to było. Samorząd też był zdecydowanie patriotyczny i w tym momencie..., akurat w samorządzie studenckim, tam miałem kontakty również, ale nie za bardzo, powiedziałbym tak, raczej od sprawy do sprawy, o tak, bez jakichś zażytych kontaktów. Natomiast wiedziałem, że..., i też jak którykolwiek z nas wpadł, to samorząd zawsze: „To bardzo dobry student, potrzebny, niezbędny na uczelni” i tak dalej, to zawsze tak było. Także samorząd, zarówno studencki, jak i samorząd taki z tego środowiska naukowego, bo coś takiego też było, był... Mieliśmy bardzo dobre kontakty z nimi. I na przykład, powiem tak, ze strony uczelni naszej wówczas, mówię konkretnej uczelni i konkretnym miejscu, bo to różnie mogło w różnych miejscach być, natomiast u nas była atmosfera przychylna, krycia... Ja byłem aresztowany trzy razy, zatrzymany w zasadzie, bo nie skończyło się to więzieniem, zatrzymany trzy razy, za każdym razem z uczelni był facet i to robiło wrażenie. Mówił to wystąpienie, to pamiętam, a ci gliniarze to tak trochę się skurczyli, bo najpierw tam oskarżają, a tu wychodzi naukowiec, który pięknym językiem mówi, że: „Proszę bardzo, jak to można naszego studenta tak poniewierać, przecież to jest człowiek potrzebny na uczelni, potrzebny Polsce...”. Oni umieli mówić, słuchajcie, to byli ludzie na poziomie. To robiło często wrażenie... Ja przecież byłem raz wygarnięty na manifestacji właśnie i chcieli mi przybić [przypisać], zupełnie to było niezgodne z prawdą, że ja byłem organizatorem tej manifestacji. Ja oczywiście na niej byłem. Akurat nie byłem organizatorem, bo nieraz było tak, że też byłem jakimś współorganizatorem, ale na tej nie. No ale ci złapali mnie, bo wskoczyło na mnie trzech czy czterech znienacka, zgarnęli mnie i kolegium. No ja stoję przed tym kolegium, właśnie takie znaczenie, jakie to miało znaczenie, i ci gliniarze zaczęli coś tam gadać, ale tak trochę bez ładu i składu nawet, i tak trochę mało logicznie, coś nie pouzgadniali, ten prowadzący kolegium, bo to chodziło o kolegium, zaczął im zadawać pytania, oni się zaczęli mieszać, a już jak przyszedł ten doktor Radomski, jak huknął, że to jest taki człowiek niezbędny na uczelni, świetny student, co nie było prawdą, bo ja wtedy trochę byłem na bakier ze studiami, świetny student, potrzebny uczelni, potrzebny Polsce, no i bach, zostałem uniewinniony. Przed kolegium, wówczas, komunistycznym kolegium, zostałem uniewinniony. Mogło być zupełnie inaczej, ale dzięki różnym okolicznościom było tak. Między innymi tą okolicznością było właśnie to, że absolutnie na uczelni nas bronili cały czas, jak tylko mogli. Pamiętam też taką sytuację dość ciekawą, bo było takie liczenie głosów w wyborach, niezależne, opierające się na metodach statystycznych, dzisiaj dobrze znanych, tych exit pollach i tak dalej, ale wtedy to była nowość. No i my uczestniczyliśmy w tym liczeniu. I jednego z koleżków zgarnęła esbecja, takiego Czarka Oleksiaka, który notabene zresztą drukarzem KOS-a był. I wygarnęli go, był, pojechał, nie wraca. Trudno. To liczenie chyba było w niedzielę, w poniedziałek rano grzejemy na uczelnię do dziekana, i mówimy, tu wygarnęli nam kolegę. I wprost powiedzieliśmy, liczył głosy. Ten w ogóle nawet się nie zastanawiał. W samochód i po tych komendach z nami. Tu pyta, tam pyta, przepytuje, sprawdza i ciągle, że był taki student, bardzo ważna sprawa, zginął, czy coś się nie stało... I to też robiło wrażenie. W każdym razie później go po prostu puścili. „Cztery-osiem” go przetrzymali, „cztery-osiem, czyli czterdzieści osiem godzin, przetrzymali go, puścili no i przyszedł wesolutki, nawet łomotu nie dostał. No ale jak przyszedł, no to my z kolei go też i do tego dziekana, który z nami jeździł, dziekan Dziarnowski, do tego dziekana, we dwóch z jednym jeszcze koleżką i ten zatrzymany, i do dziekana. On tam wypytał ze szczegółami o wszystko, jak to było, przede wszystkim czy nie był pobity, czy to, czy śmo, jak go traktowali. I na koniec tam jeszcze popytał o parę różnych rzeczy, jakichś tam innych, ogólniejszych, i przybił piątkę, tylko, „Chłopaki, na drugi raz – mówi – nie dajcie się złapać”. No to taka była atmosfera. To był dziekan, żeby było jasne. Taka była atmosfera. Między innymi był też na politechnice taki specjalny taki specjalny zespół studencki, pod-

legły rektorowi. Ja tam z nim jakiś czas współpracowałem, z tym zespołem, ale w pamięci mi nie została jego ani nazwa, ani szef tego zespołu, chociaż on był z naszego wydziału, z Łódówki też, ten chłopak. No w każdym razie, który właśnie też takimi rzeczami się zajmował. Pamiętam, że mi kiedyś tam jakąś jedną sprawę... uczestniczyłem w tej sprawie, wygarnęli jakiegoś chłopaka na manifestacji, przeczytał ulotkę no i go zapuszkowali za to czytanie ulotki. I ja dzwonię do tej matki jego, bo mi podali telefon, żeby się skontaktować, żeby być w kontakcie z tym tematem i spróbować go tam prowadzić. Ja dzwonię do tej matki i mówię, że tu jestem z uczelni, że właśnie... Ale nie zdążyłem skończyć, a ona: „Panie, panie, drogi panie, on niewinny, on niewinny”. Kurczę, no, ta kobietka była przerażona, ale ja czułem... Ja nie mogłem się przebić do niej, że: „Ja, wie pani, ja dzwonię do pani, żeby pani pomóc”. Długo jej tłumaczyłem, zanim ona zrozumiała. Bo ta niewiasta musiała być nie za bardzo jakby wtajemniczona w te sprawy, może troszeczkę przestraszona, no bała się o swojego syna. Tak że to..., taką sytuację też pamiętam. Był taki zespół właśnie do... Tak że atmosfera do obrony studentów i naukowcy, również przedstawiciele samorządu studenckiego czy też specjalny wręcz taki zespół stworzony przez rektora, ówczesnego rektora, profesora [Władysława] Findeise-na, właśnie miał robić, co możliwe, żeby ratować. Jak ja byłem aresztowany, to za każdym razem przychodzili esbecy żeby mnie wyrzucić. I nikt tego nie zrobił. Bo to, oczywiście, mogli zrobić, wyrzucić studenta. Nikt tego nie zrobił, wręcz przeciwnie, miałem zawsze pomoc. Miałem zawsze pomoc i właśnie nie zapomnę doktora Grodeckiego z budowl podziemnych, super facet, doktora Radomskiego, dzisiaj jest wybitny profesor od mostownictwa, Wojciech Radomski, nawet nie wiem, czy jeszcze żyje, bo już dawno o nim nie słyszałem, ale to jest jeden z bardziej znanych specjalistów od mostów, czy Gomuliński, który był dziekanem, też mnie bronił, czy Dziarnowski, super goście po prostu, wspaniali ludzie. Ja w ogóle atmosferę na uczelni to tak dobrze wspominam, że... Pod każdym względem, zarówno naukowym, jak i takim, kulturalnym, no ale również oczywiście i to, że mieliśmy tam zaplecze, że nas bronili. Tak że to uczelnia... Nie na każdej uczelni tak było, żeby było jasne. Miałem informację, że na przykład w Łodzi to niestety... Już nie pamiętam w tej chwili konkretnej, a to była bardzo konkretna informacja, że wygarnęli jakiegoś tam chłopaka, chyba z polibudy, łódzkiej, to na drugi dzień go już nie było na studiach. Także różnie to bywa, różnie to bywało, ale te silniejsze uczelnie, na tych silniejszych uczelniach na pewno była atmosfera sprzyjająca. I to była też jedna ze spraw, która oczywiście nam pomagała, i to bardzo. To nie ulega wątpliwości. Tak że tutaj... Powiem jeszcze tak, troszeczkę podsumowując może ten wątek takiej magmy konspiracyjnej, bo to jest moja nazwa, ja to tak nazywam, to tam się po prostu jedna inicjatywa zaczynała, kończyła, upadała, jedni ludzie dochodzili, inni odchodzili, to było takie, to było takie płynne. natomiast właśnie w tym naszym środowisku, w środowisku studenckim, to cały czas się coś kotłowało, cały czas się coś kotłowało. Mieliśmy takie swoje zaplecze naturalne w Babilonie, powiedzmy sobie, gdzieś tak kilkanaście osób, które no były tymi osobami jakby odbierającymi troszeczkę..., czy czytającymi te książki, odbierającymi tę prasę, przekazującymi gdzieś czasami jakieś... bo to był akademik, powiedzmy sobie, że tam na weekend wywoził tam 10 czy 20 sztuk w swoje z kolei środowisko, o swojego miasta, jakieś gazety. No to wszystko się uwzględniało w tych naszych ruchach i w tej organizacji naszej skrzynki. Czy wziąć pięć, czy dwa-dzieścia, czy ile tych gazet wziąć, żeby to się rozeszło, bo przecież nie o to chodziło, żeby to leżało. Tak że to krążyło, mieliśmy kontakty z innymi uczelniami, w szczególności z Krakowem najwięcej, z innymi studentami, trochę z Lublinem, trochę z Gdańskiem. To też powstawało i upadało, kończyło się błyskawicznie, czasami z Poznaniem. Natomiast najwięcej z Krakowem, i pamiętam, że do Krakowa... był taki moment, a później się to skończyło, jak było taka gazeta „Przegląd wiadomości agencyjnych”, to był rarytas na rynku podziemnym, bo to była jedyna gazeta, która miała dobre zdjęcia. Tak to przeważnie albo żadne, albo jakieś takie rozmazane, a ta była jedyna gazeta, oni...

„Przegląd”. I z „Przeglądem wiadomości agencyjnych” związała się ta nasza ekipka Waldeczków, z tego... warszawska część. Mocno. I przez naszą skrzynkę przechodziło, był taki moment, że kilka tysięcy „Pawia”, bo „PAW” na niego mówiliśmy, „Przegląd agencji...”, „Przegląd”..., zaraz, mam gdzieś tego Pawia tutaj, ale mniejsza o to... „Przegląd”... a, „PWA”. Ale „Paw” na niego mówiliśmy. „PWA”. „Przegląd wiadomości agencyjnych”. To kilka tysięcy do Krakowa szło... Bo oni z kolei przerzucali. Mielśmy tam kanał, kolegę, który przerzucał, albo do nas ktoś przyjeżdżał. Natomiast później już to było za dużo na przerzut i oni wchodzili na główną skrzynkę w pewnym momencie. Także u nas później znowu zostało tam te kilkadziesiąt sztuk nasze potrzeby, a te kilka tysięcy szło innym kanałem. I później dowiedziałem się, bo z chłopakami z „Pawia” się niedawno przypadkiem spotkałem, to wszystko jest takie śmieszne, bo to przecież ja opowiadam historię sprzed lat czterdziestu czy trzydziestu pięciu, a ja się niedawno spotkałem z gościem z „Pawia”, który wie wszystko o „Pawiu”, i tak, okazało się, że rozkręcali się, najpierw robili do 30-35 tysięcy, na jednych blachach offsetowych, w Warszawie, później szło to w różnych kierunkach, między innymi przez nas kilka tysięcy do Krakowa, i później zorganizowali druk na Małopolskę, blachy szły, były zrobione dwa komplety blach offsetowych, jedna szła tam, drukarnia tam była, tam było na południu tłuczone, i robionych było, to się niedawno dowiedziałem, do 70 tysięcy gazet co tydzień. – Egzemplarzy? – Egzemplarzy, tak. Egzemplarzy gazet. „Pawia”. To właśnie ten „Przegląd wiadomości agencyjnych” to u nas też był, ale oczywiście „Tygodnik Mazowsze”, „KOS”, – który sami zresztą robiliśmy. – „Kurier Wolności” „Kurier”, „Wiadomości”, trochę od czasu do czasu gazet z innych miast. U nas naprawdę było jakieś takie centrum, jedno z takich centrów, powiedzmy sobie, tego podziemnego ruchu. To środowisko babilońskie było przesyczone konspirą po prostu. Tak to było. Z takich jeszcze historyjek powiem jedną, z tych takich ogólniejszych. Dwa razy przewoziłem, przemyciałem z zachodu rzeczy. Raz, i to, powiem szczerze, boleję nad tym, ale nie wiem, od kogo nawet, dostałem namiar na Chojeckiego w Paryżu, i jak byliśmy w tym... mieliśmy studencką wyprawę, w 1985 roku, to się zameldowaliśmy tam u [Mirośława] Chojeckiego, przygotował nam pełną torbę, bo wcześniej tam było przekazane, różnych rzeczy, których potrzebowaliśmy. Sita, tam jakieś części do maszyn drukarskich, jakieś tam reprinty, jakieś kasety, coś, różne rzeczy. Już wszystkiego nie pamiętam, ale dużo. Prawie pełną torbę. I później, wracamy. Wyprawa szła tak, że lecieliśmy autokarem na południe, później taki łuk robiliśmy do Włoch, Francja, później tam Holandia, Niemcy no i granica RFN-NRD. No i słuchajcie, podjeżdżamy, a ja miałem tę torbę pełną klamotów, nielegalnych. Na wierzch położyłem sweter, koszulę, to, sro, owo i na samym wierzchu..., bo ona była taka trochę wysoka, ta torba, i na samym wierzchu..., bo kupiłem sobie płytę Hendrixa i ona tam była bezpieczna, bo pionowo tak stała w tej torbie. I słuchajcie, podjeżdżamy do tej granicy NRD-owskiej, a tam po prostu z daleka widać z tych wieżyczek, bo tam te druty, te wieżyczki, świdrują nas, chyba ze trzech, z tych lornetek, my tam podjeżdżamy, a oni tam się wychylają, świdrują, żeby tam ten polski wraży [wrogi] samochód już obserwować. I od razu nas kierują, tam te zasieki, jedno, drugie, zaorana ziemia, no i później na taki parking. I stoimy na tym parkingu, stoimy, nagle, patrzymy, wychodzą. Trzech z psem. Znaczą jedna dziewczyna, dwóch facetów i pies. O kurde balans. Jak podeszli do nas, to powiem szczerze, że tak mi trochę po plecach mrówki poszły, bo mieli tak naprawdę, taką zaciętość w tych mordach, taką zaciętość w tych oczach, widać było, że chcą coś znaleźć. No i tak, ja siedziałem... tu był kierowca, a ja zaraz za kierowcą, miałem takie uchylone trochę to okienko, siedzę, a oni tak przechodzą powoli, jeden kopnął w to koło, ten pies tam się kręcił, obwąchiwał, i nagle podchodzi do mnie przy tym okienku i: „Haben Sie Handgranate, Pistole?”, „Czy pan ma granaty ręczne, pistolety?”. Po prostu jakieś absurdatne pytanie, słuchajcie, w ogóle jakaś bzdura. Tak mi coś zakotłowało się w środku, no ale spokojnie odpowiadam, że „Nie, nie, nie mam”. No i krążą dalej koło tego... No i wchodzi wreszcie do tego samochodu, jak

już tak okrążyli, obwączali wszystko, i jeden po prostu prosto do mnie. Prosto do mnie i mówi: „Co masz w tej torbie?”. Ta torba tu stoi. Ja mu otwieram, on tak zajrzał: „O, Hendrix. Gut”. I puścił mnie. I nie zaglądał dalej. Słuchajcie, po prostu ja już byłem pewien, że mnie tam wezmą, że już jest po mnie. A on tak: „O, Hendrix. Gut”. To taka historyjka właśnie z tamtych czasów. Te druty, to wszystko, to jest tamten czas. Te druty, tak samo jak na tej Rakowieckiej. Szczęk, tych zamków, te klucze tłuką, wszędzie siatki, wszędzie metal, druty. To jest niezapomniane wrażenie. Jak tak to zaczęło szczękać, to ja byłem pewien, że zostanę tam na dwa lata. A się okazało... Tak że to nie można tracić nigdy ducha. Tak samo z tym przemysłem. Tak że przewiozłem to i drugi raz to specjalnie pojechałem do Berlina, to już trochę później, tam z kolei z takim Grzegorzem Ziętkiewiczem się komunikowałem, też mieliśmy przygotowane różne rzeczy, co nam były potrzebne. On tam wszystko to przygotował. Pamiętam zapewnił lokal, spanie. jakiś tam ten... Ale widziałem, że to nie jest tak, że to po prostu chodzi jakaś maszyna. To było jego indywidualne po prostu jakby zaangażowanie, praca. Nigdzie nie było tak, także i na tej emigracji, że oni... to wszyscy musieli wypracować swoim pomysłem, jakoś swoim zaangażowaniem. I za drugim razem to już bez przygód przywiozłem też sprzęt. Miałem też epizod przemytu z zachodu nielegalnych rzeczy. I to może ostatnia historyjka z tych konspiracyjnych. A ja mam jeszcze takie pytanie, czy z tego okresu były jakieś kontakty, czy to z jakimiś innymi opozycjonistami Solidarności, albo w ogóle organizacji innych, typu Solidarność Walcząca, czy z KPN-em, czy z jakimiś innymi jeszcze być może organizacjami? To jest też zasadnicze pytanie... Oczywiście, że tak, że mieliśmy różne kontakty. To jest też zasadnicze pytanie: opozycja solidarnościowa czy inna? Z samego początku Solidarność to oczywiście był ten motor. Solidarność, czyli ta organizacja związkowa, robotnicza, taka i tak dalej, to był ten motor. Ale od samego początku tam było mnóstwo innych, takich czy innych, organizacji. I oczywiście, tak, mieliśmy kontakty. Ja, powiedzmy, tak, nie mogę powiedzieć, żebym miał kontakty takie bezpośrednio, żebym wiedział, że to jest na przykład gość z KPN-u, ale na przykład KPN-owskie rzeczy na skrzynkę naszą wskakiwały. My to czytaliśmy oczywiście. Nie tylko KPN-owskie oczywiście, Solidarności Walczącej oczywiście też wskakiwały rzeczy na naszą skrzynkę. Także w tym sensie ten kontakt był. Kontakt myśli. Wymiany myśli, poglądów... Bo to też następowało, my to wszystko czytaliśmy. To nie było tak, że to się tylko przewalało. My najwięcej czytaliśmy z wszystkich, bo mieliśmy najlepsze dojsię i wybieraliśmy te najciekawsze rzeczy oczywiście. Bo czasami to były rzeczy ciekawe, a czasami to nie tak bardzo. Tak że czasami nie tak bardzo ciekawe. Ja pamiętam też taką historyjkę. U nas koczowała kilka dni jakaś taka delegacja robotników z huty Stalowa Wola, bo coś przyjechali w Warszawce załatwiać. Coś też z konspiracy. Ale to tam po prostu w akademiku my ich po prostu nocowaliśmy. A oni przyjechali, bo jeden z kolegów naszych był właśnie ze Stalowej Woli no i załatwił im po prostu spanie, u nas. I oczywiście jak wiedzieliśmy, że to chłopaki z konspiracy, to nam się nimi za bardzo... Konkretów się nie mówiło, ale chcecie książki, to patrzcie, takie mamy, takie i takie. No i akurat mieliśmy... Głównie było wymiecone wszystko, Ale mieliśmy z Nowej książki. No czyli jedna z pierwszych bardziej prestiżowych oficyn wydawniczych, Nowa. No ale oni wtedy mieli jakiś taki, kurczę balans... ja wiem jak to nazwać? No profil wydawniczy, poezja jakichś czeskich poetów, jakieś te, rozważania, dupersztyki, nie wiadomo o czym. No te chłopaki patrzą, „Co mi tutaj” ... Ja mówię, no co? „Nie macie jakiegoś Piłsudskiego? Nie macie czegoś o historii Polski, o powstaniach? Co wy tu jakieś dupersztyki nam dajecie?”. I nie wzięli nic oczywiście. No ale to taka, taka, taka też historyjka, może śmieszna, może... No ale no w każdym razie prawdziwa. Czyli też, jeżeli chodzi o te kontakty z różnymi... Z różnych stron mieliśmy mnóstwo kontaktów, mnóstwo kontaktów. Była wymiana myśli, pamiętam też, buchnęły w swoim czasie takie organizacje niepodległościowe, Liberalno-demokratyczna partia „Niepodległość”, jakieś takie, to my tam zaczytywaliśmy się po prostu. Bo właśnie, powiem tak, w tej opozycji solidarnościowej to nam brakowało właśnie takiej

myśli geopolitycznej. I myślę, że to nie był zresztą przypadek, że to tak było sterowane. Bo niepodległość i wtedy była trochę przez środowisko tak zwanych „michnikowców” czy też tego typu... wtedy była jakoś dziwnie, źle widziana, i dzisiaj jakoś dziwnie jest, źle widziana. Jesteśmy w przeddzień Święta Niepodległości. Wtedy to pamiętam, jak to środowiska niepodległościowe buchnęły z tymi różnymi..., między innymi też i KPN też stawiał ten postulat Niepodległości. Czy inne środowiska. To wtedy jakby, powiem tak, w tej takiej prasie to było takie trochę... trochę taka nagonka, że to są oszołomy, że co, jaka niepodległość, to nierealistyczne, O, nierealistyczne. Nie, to jest nierealistyczne. Jaka tam niepodległość? O czym tu mówić? To jest nierealistyczne. I co, dzisiaj też jest nierealistyczne, bo musimy, co, na przykład ustawę o TVN-ie konsultować ze Stanami Zjednoczonymi, ustawę o praworządności musimy z Unią Europejską konsultować, a ustawę o tych, jak to było ostatnio, administracyjną z Izraelem. No to przecież to oficjalnie mówią politycy. To, to gdzie ta niepodległość, co z tą niepodległością jest dzisiaj? A to i wtedy było, i dzisiaj, w niektórych środowiskach i wtedy, i dzisiaj. Niepodległość jest zawsze podejrzana, jest absolutnie, nierealistyczna. Dzisiaj niepodległość to polega na podległości, o. To znaczy, że będziemy podlegać pod Unię.

Artur Kłus: To można powiedzieć, przechodząc troszeczkę od tego momentu, który pan zaznaczył.

Marek Głowacki: Opozycja, nazwijmy to, podziemie solidarnościowe, związkowe, a inne środowiska, no to między innymi taki temat można sobie postawić. Można postawić taki temat. A nie tylko jeden, nie tylko jeden taki można postawić. Ja uświadomiłem sobie, jak zmarł Mackiewicz, Józef Mackiewicz. On zmarł w 1984 roku, no buchnęło wtedy mnóstwo książek, zaczęły wydawać różne oficyny Mackiewicza, o, Mackiewicz... Oczywiście my to też czytaliśmy. A to był ostry antykomunista. I co się okazuje? Natychmiast, od razu w tych KOR-owskich że Mackiewicz to agent niemiecki. No, agent niemiecki, no wiadomo, że agent niemiecki. Przecież pamiętam nawet taki tekst w „Krytyce”, Jerzego Surdykowskiego, obszerny, atakujący absolutnie Mackiewicza. Bo zaczyna się tworzyć jakaś legenda antykomunistyczna, bo młodym ludziom się podoba antykomunizm, bo my byliśmy antykomunistami przecież. Przecież absolutnie dla nas nie było wątpliwości, w tym naszym środowisku, że jesteśmy antykomunistami. Ale antykomunizm jest brzydki, jest nieładny, jest nieelegancki. Dzisiaj też jest nieelegancki. I w tych samych środowiskach.

Artur Kłus: Bo rzeczywiście pan wszedł w taką sprawę idei i myśli.

Marek Głowacki: I to jest sprawa kluczowa, bo oczywiście można sobie opowiadać o rzucaniu ulotek, to też jest fajne, może być atrakcyjne, o jakichś tam przygodach, o takich czy innych. Ale tak naprawdę to trzeba się zastanowić nad tymi ideami. Jakie to były te idee, co nami kierowało, że my coś robiliśmy. Co nami kierowało? No więc tu ja oczywiście też... Na te tematy się wtedy dyskutowało, bo my oprócz działalności, oczywiście zastanawialiśmy się, analizowaliśmy, czytaliśmy książki, dyskutowaliśmy. I jeżeli... powiem tak, mogę powiedzieć, bo tak niedawno dyskutowaliśmy też w gronie już w tej chwili weteranów Waldeczków, na jakimś spotkaniu. No i co nam zostało? Zostało nam, że niepodległość, to był nasz..., rzeczywiście wykrystalizowało się w naszym środowisku, że my chcemy niepodległości, chcielibyśmy niepodległości. Antykomunizm, to w ogóle nikt nawet o tym nie dyskutował. Dla wszystkich było jasne, że komuna to jest zło. Jak Regan powiedział, że to jest zło wcielone, czy tam diabeł wcielony, to my już to wiedzieliśmy wcześniej, i że byliśmy antykomunistami. Czyli niepodległość, antykomunizm. A jakby trzecia sprawa, jakby szacunek dla polskich wartości, polskiej tradycji, patriotyzm, szacunek dla polskiego Kościoła. To jest jakby taka

kolejna grupa spraw. I to nas tworzyło, tak się ukształtowaliśmy właśnie w tym gronie. Bo absolutnie w innym mogło być inaczej. Ale tutaj mogę to powiedzieć jasno, bez żadnej przesady, że to było coś, co nas... Tak się ukształtowaliśmy w tej konspirze naszej, w tym naszym środowisku. I te idee dla nas są nadal ważne. I powiedziałbym tak, ale to nie przestało być aktualne. Bo w tej chwili też nam komunę pod innym szyldem wbijają, neomarksistowskim, narodowym na zachodzie, gdzieś tam wśród zachodnich komunistów. Tutaj oczywiście jest dużo różnic między komunizmem sowieckim a zachodnim, ale jeszcze więcej wspólnego. Czyli wydawać by się mogło, że te wszystkie wartości, które były ważne, te wszystkie idee, które w jakiś tam sposób zaczęliśmy uważać za swoje, one nadal są aktualne. One nadal są aktualne i są nadal ważne. Nie przestały być, co było dla mnie konstatacją troszeczkę zaskakującą, jaka była zgodność w tym gronie dosłownie kilku osób tylko, to nie żadne grono reprezentatywne. Zaczęliśmy o tym rozmawiać i się okazało, że tak samo to czujemy dzisiaj. – Wśród grupy tych Waldeczków? – Tak, mówię o naszym środowisku, w którym nadal utrzymujemy kontakty towarzyszy... Bo oczywiście spotykamy się z różnymi też i w tej chwili to środowisko jest już mi osobiście znane prawie całe. Całe to za dużo powiedziane, ale wszyscy aktywniejsi są mi znani. Natomiast te więzi przyjacielskie mam nadal przede wszystkim z Waldeczkami. Tak to pozostało.

Artur Kłus: I jeszcze chciałbym zapytać, jakie poniósł pan koszty zaangażowania?

Marek Głowacki: Ja należałem... nie wiem czemu, mnie nie wiem czemu, ale należałem do tych ludzi, którzy mieli szczęście. Bo ja byłem trzy razy w rączkach esbeckich i zawsze z tego wychodziłem. Za pierwszym razem wpadliśmy na gorącym uczynku, to był jeszcze stan wojenny, tam z dekretu mogli mi tam dopakować ileś... Dosłownie za jakieś parę dni czy paręnaście była amnestia, wyszliśmy, można tak powiedzieć, bez większego szwanku. Opisywałem też historię zatrzymania mnie na manifestacji. Też mogło się to różnie skończyć, a przecież doskonale o tym wiemy, że ludzie ginęli w najróżniejszy sposób, później ich znajdowano pijanych w okolicy rzeki, ale nie żywych. Różne to były sytuacje. My o tym wszystkim wiedzieliśmy oczywiście. Przecież to nie jest tak, że my nie wiedzieliśmy o śmierci [Grzegorza] Przemyska czy księdza Jerzego, czy wielu innych śmierciach. To oczywiście o tym wiedzieliśmy. Natomiast to też trzeba powiedzieć, że komuna wtedy to już był organizm przegnity. To już była końcówka tej komuny. Oni sami nie wierzyli. Ja powiem szczerze, już ten komunizm... Ci, z którymi ja się spotykałem, esbecy, żaden z nich nie wierzył już w ten komunizm. Żaden. Pamiętam takiego... Jak to się nazywało? W areszcie śledczym... Chyba... nie wiem, czy nie wychowawca. Czyli taki był wychowawca w areszcie. On niby przesłuchiwał, niby tłumaczył coś, opowiadał jakieś dupersztyki. To on był tak dla mnie nieprzekonywujący. On był taki skwaśniały, stary esbek, który w nic nie wierzy, ale coś mu każą, gadać to gada. On musiał to odpykać, ja wchodziłem, słuchałem tych jego dupersztyków, trochę tam w duchu się pośmiałem, bo nie śmiałem się z niego, bo po co mi tam kłopoty, ale tak w duchu się z niego pośmiałem, wyszedłem, on pokiwał głową, ja poszedłem. To były takie dialogi z esbekiem, jedno. Drugi, no to wtedy mnie wygarnęli, u tego Staszka zrobili kocioł i mnie wygarnęli, to byłem w Pałacu Mostowskich. I oni nie wiedzieli kim ja jestem, ja się nie przyznawałem, kim ja jestem, bo się bałem, jak się przyznam, bo wiedziałem, ile jest towaru w naszym pokoju, w akademiku. Nie miałem przy sobie dokumentów, nic. I się długo nie przyznawałem, żeby chłopaki mieli czas schylić lokal. I oni tam mnie straszili, a to co to mi nie zrobią, a to drugi przychodził, oczywiście ten lepszy policjant, e tylko powiem, to już będzie wszystko dobrze, że on mnie obroni i tak dalej, i tak dalej. Trwało to ileś godzin, próbowali mnie tak obrobić. I w pewnym momencie, słuchajcie, to nie był... Lekko zostawili uchylone drzwi i tam z ciszonym głosem w drugim pokoju gadali. Jeden mówi: „Kurwa, daj już spokój. Co Ty, co Ty, kurwa, ja z dzie-

wuchą jestem umówiony. Nie będziemy tu nic... Dawaj go do tego, na Cyryla Metodego i kończymy to. Przyzna się, nie przyzna, będzie kolegium, co tam, nie nasza sprawa. Taki dialog. I rzeczywiście, później jeszcze coś mnie trochę straszili, zapakowali mnie tam do tego aresztu na ulicy Cyryla Metodego, później miałem kolegium, dostałem za okłamywanie władzy ludowej, brak dowodu osobistego jakąś tam grzywnę i mnie puścili. No to to też druga sprawa. Tak że w tym momencie miałem na pewno szczęście, bo te sprawy mogły się w najróżniejszy sposób skończyć. Wielu ludzi nie miało tego szczęścia, bo przecież było ileś tam morderstw stanu wojennego, do dzisiaj nikt nie potrafi tego policzyć nawet. Było ileś więzień, iluś ludziom złamali życie w taki czy inny sposób, wyrzucali z pracy i tak dalej, i tak dalej. Tych prześladowań i trudnych sytuacji było bardzo dużo.

Artur Kłus: Czyli nawet tak, jak pan wspominał o Piotrze Mazurku czy Michale [niezrozumiałe] to są też takie przykłady.

Marek Głowacki: Tak. Nawet w grupach. W grupach mamy dwa przypadki śmierci. Ja sądzę, bo próbowałem drążyć w najróżniejszy sposób, i sądzę, być może dojdą jakieś inne fakty, wtedy zmienię pogląd, ale w tej chwili sądzę, że ci ludzie zostali zaszczuci po prostu. Tak ich nachodzili, tak ich straszili, tak ich zaszczuwali, że prawdopodobnie popełnili samobójstwo. – Mówimy o Piotrze... – Piotr Mazurek i Barbara Kryńska. Wcześniej Barbara Kryńska. Wy-skoczyła z szpitalu w Wołominie. Czy wyrzucona została, też nie wiemy. Być może jedno, być może drugie. W każdym razie w tym momencie niezależnie od tego, jak było, to są ofiary tego systemu. Ludzie, zaszczuwani, doprowadzeni do jakiegoś stanu psychicznego załamania, no i... Jeżeli to było samobójstwo, to popełnili. –

Artur Kłus: A mógłby pan o okolicznościach coś opowiedzieć szerzej? – Tych spraw?

Marek Głowacki: Znaczący, w tym momencie oczywiście tak. Ja to znam z opowiadań innych. Z opowiadań, z relacji, z takich czy innych. Bo przypadek Barbary Kryńskiej, nie pamiętam daty, ale najprawdopodobniej to musiał być rok około 1983. Natomiast Piotra Mazurka, to było później, około roku 1987 albo 1986. I w tym momencie Barbara Kryńska była osobą związaną z grupą „Suchego”. To była starsza babka, bo... Znaczący: starsza babka, to była kobieta dojrzała, powiedzmy sobie, natomiast w stosunku do nas, którzy mieliśmy przeważnie po dwadzieścia lat, to była osoba czterdziestoletnia, czyli starsza osoba, która trochę tam udzielała lokalu, która tam coś pomagała, kryła, przechowywała rzeczy, u niej były jakieś spotkania... To musiałby Różycki ze szczegółami opowiedzieć. I tam nastąpiła jakaś wyspa,, i tę kobietę zaczęli tam esbecy właśnie zaszczuwać. I przede wszystkim, jak wyczuli, że ona... Wydaje mi się, że to chodziło o wnuczkę, że ona tak drży o tą swoją wnuczkę, no to wtedy na to weszli, że jak chce ją oglądać, to musi sypać. Jak chce ją oglądać, to musi sypać. Jakieś tego typu szantaże były. I w tym momencie ja nawet powiem szczerze, że nie wiem, ta historia jest gdzieś opisana, czy ona tam coś powiedziała, czy nie powiedziała. W każdym razie, jak wyszła z tych przesłuchań, to była tak zdruzgotana, że wylądowała w tym szpitalu i nigdy z niego nie wyszła. No to tyle wiemy o tym. Więcej na pewno mógłby opowiedzieć Różycki, bo to była osoba z nim związana, on ją znał. Natomiast z Piotrem Mazurkiem, o był facet z tego bliskiego otoczenia, Kmincewicza, bardzo zaangażowany, no i kiedyś go już zgarnęli, raz, puścili. później był porywany chyba ze dwa razy. i też zaszczuwany w podobny sposób, bo kontekst jakichś, powiedzmy sobie, strasznych rzeczy, które mogą zrobić jego rodzinie czy żonie, czy już nie pamiętam. I po którymś tam tym przesłuchaniu podobno u niego byli w domu. On mieszkał na którymś tam piętrze

w jakimś budynku wysokim. I albo wyskoczył, albo znowu go ktoś wypchnął. To wszystko jest niewiadome. Prawdopodobnie załamał się i wyskoczył. Znaczący to są takie przypadki, a przecież kolejny przypadek, który różnie mógł się skończyć, skończył się, można tak powiedzieć, względnie szczęśliwie, to było porwanie Mireckiego, który z tego jakoś wyszedł, podpisał kwity, wypuścili go i on wtedy ogłosił, że trzy dni był przytrzymywany w Magdalence i już go później nie ruszyli. Chociaż straszyć go cały czas straszili. Straszyć go cały czas straszili, ale już go nie ruszyli. To była głośna sprawa. Mówiono o tym w ogólnopolskich mediach, mówiono o tym w mediach zachodnich. To był temat bardzo głośny. Czyli to różnie mogło się kończyć. Absolutnie mieliśmy tego świadomość. Żyliśmy w ciągłym stresie, to jest jasne. Natomiast ja miałem szczęście, mogę tak powiedzieć. Później się zastanawiałem, dlaczego ja miałem szczęście, a inny nie miał szczęścia. Bóg tak chciał, powiem tak. Zostałem w jakiś tam sposób oszczędzony.

Artur Kłus: Tu pan troszkę mówił o tych ideach: antykomunizm, patriotyzm. Pewnie można by dodać do tego trochę też taką młodzieńczą adrenalinę, bo byliście, panowie, młodymi studentami. O tak. Ale też pan wspominał o tym, że to był bardzo dynamiczny czas, dużo stresu właśnie, też takiej, powiedziałbym, może nie przygody, ale takiej – Było. Przygody, jak najbardziej, również. – aktywności. Jak pan wspomina właśnie z takiej pozycji z jednej strony właśnie takiej młodzieńczej adrenaliny i takiej aktywności radykalnej wręcz czasami i połączone z tymi ideami? Ile było, powiedzmy, czego?

Marek Głowacki: Byliśmy normalnymi ludźmi. Tak że mieliśmy swoje życie prywatne, każdy to jakoś musiał godzić, też spotykaliśmy się towarzysko, a później już w szczególności, jak już się lepiej znaliśmy, ten czas był luźniejszy, ta konspiracja była w ogóle luźniejsza też. Natomiast oczywiście, każdy się takimi rzeczami inspirował też. Typu przygoda, trochę się czasem wygłup, jeden z drugiego się śmiał, że ty jesteś cykor, bo nie poszedłeś, ale przeważnie było odwrotnie, bo u nas to było ciągnięcie zapalek. Kto idzie na jakąś lepszą akcję, taką bardziej spektakularną, to chętnych było więcej. Tak że adrenalinka, zawsze cię to pociąga. To też. Ale niektórzy się cofają. Ja też pamiętam, że na pewno nie wszyscy się do tego nadawali, niektórzy się wycofywali, przechodzili do spokojniejszej działalności. A taka akcja miejska, zderzenie, to ryzyko, to pociąga. No i oczywiście to jest też... To też pociąga, bo to jest przygoda. To jest prawda, Absolutnie to jest prawda, i trochę czasami się pochwalenie przed dziewczynami, to też było, nie ulega wątpliwości. Tak że to nie była sama idea w tym momencie. Był i wygłup, była i właśnie, jak mówię, czasami niepotrzebna brawura, czasami lekkomyślność. Było tego dużo. To też powiem szczerze, czasami za dużo nawet tej brawury. Ale to... Z pewnością też inspiracja jakimiś tam wydarzeniami historycznymi, można tak powiedzieć. Bo to się czytało, czytało się o tych akowcach, że oni byli tacy odważni. A co, my nie możemy być odważni? Też możemy. To były oczywiście inne czasy, to jasne, my rozumieliśmy, że to jest inny czas, ale odwaga też była potrzebna. Tak że niejedno... Ja nawet miałem taką kiedyś sytuację, nie raz zresztą, ale raz to pamiętam, że się zagotowałem, bo komuś dałem jakąś tam gazetę do przeczytania i mówię, pchnij to dalej. On mi za trzy dni oddaje, nic nie mówi, tylko oddaje. To co ty mi to oddajesz? No przecież ja mam takich dużo. Po prostu się zagotowałem. Ale on się bał pchnąć to dalej. Nie wiedział, co to było, a nie chciał znowu spalić, no to mi oddał. No to też taka sprawa. Tak że oczywiście różnie to bywało z tą odwagą. Czasem było jej za dużo, czasem za mało. Ale to tak już jest w życiu. W tym okresie, nazwijmy to, legalnej Solidarności, czy też tego karnawału Solidarności, wiele razy stykałem się, czy to z jakimiś koncertami, czy z jakimiś wydarzeniami kulturalnymi, które wcześniej nie mogły mieć miejsca. Powiedzmy

tak, no wymienię na przykład koncert Kaczmarek, Gintrowski, który był w Akademiku „Ustronie”, odbył się. Ja akurat nie wiedziałem o nim, nie byłem na nim, natomiast wtedy zaczęło się moje słuchanie Kaczmarek czy Gintrowskiego, czy w ogóle innych również twórców, bo jeszcze wcześniej, powiedzmy sobie, w latach 70., zetknąłem się już na przykład z Janem Pietrzakiem i z tą jego piosenką: „Żeby Polska była Polską”. I od tego czasu, już od końca lat 70., była dla mnie czymś takim bardzo ważnym. To jest coś bardzo dostojnego, to jest coś bardzo podniosłego i pięknego. I w tym momencie, powiem tak, kolejną sprawą taką kulturalną, ważną, która uświadamiała mi znaczenie kultury, było to spotkanie z Miłoszem. Tam była naprawdę świetna atmosfera. I ja powiem tak, wcześniej za poezję nie przepadałem, ja lubiłem raczej powieści, poezję tak trochę traktowałem, że to jest dla dziewczynek bardziej. To może tak trochę śmiesznie, ale tak za bardzo nie przepadałem. Natomiast od Miłosza zaczęło się takie troszeczkę zainteresowanie poezją, a później przerzuciło się na Herberta, jak posłuchałem koncertu, notabene w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej, to był rok 1982, i to, nazwijmy to, taki pół podziemny, pół legalny, no bo jaki podziemny, jak koncert i w budynku Muzeum Archidiecezji, także trochę legalny. Ale trochę nielegalny, bo tam towarzystwo było prawie... Dużo było konspiracyj, dużo było tych środowisk takich katolickich i tak dalej. I ten koncert dla mnie niezapomniany. Niezapomniane wrażenie. Ten śpiew Gintrowskiego na żywo, z bliska, później jeszcze jakiś tam kontakt z nim, może bardziej epizodyczny, ale też osobisty, no i to wrażenie olbrzymie, przeolbrzymie. To po prostu... czułem, że to mnie wzmacnia. Powiem szczerze, czułem, że to mnie wzmacnia. Tak że zarówno w tym czasie Solidarności, tego karnawału, jak i później olbrzymie znaczenie w naszym środowisku miała właśnie kultura, nazwijmy ją kulturą niezależną, chociaż oczywiście to rozkłada się również i na inne obszary kultury. I tak jak komuna próbowała nas amputować, odciąć od literatury, zakazując jakieś książki, poezji, ale przecież nie tylko, filozofii, socjologii, myśli politycznej... Właściwie to od czego oni nas nie odcinali? Oni nas odcinali od wszystkiego. A to wszystko tworzy kulturę. To wszystko jest kultura. I muzyka, również treści wyrażone w muzyce, takie jak na przykład właśnie niezapomniane piosenki do utworów Herberta Gintrowskiego, czy Kaczmarek, czy Kelus, czy Pietrzak, to nas przeszywało, dawało nam siłę i naprawdę było niezwykle ważną sprawą. w podtrzymaniu tej aktywności. Bo to łatwo było przestać się angażować. To było najłatwiejsze, to było proste jak drut, Przestać. Ale jednak... Bo przecież przeszkód było wiele, i materialny, i czasowy, przecież czasami traciliśmy jakieś inne szanse. Bo inni robili kariery, a my co robiliśmy? A my co? Rozdawaliśmy gazety? To trzeba było. Potrzebne nam było takie podtrzymanie i to podtrzymanie dawała nam między innymi właśnie ta niezależna kultura. Ale w ogóle również kultura. Bo ja brałem na przykład udział w jakichś tam przedstawieniach teatralnych, też w tych przykościelnych przeważnie salkach, no to jeżeli to było przedstawienie do jakiejś tam... nawiązujące do myśli Jana Pawła II, czy jakiegokolwiek inne, to to jest po prostu zwykła kultura. Jaka to, kultura niezależna? Po prostu kultura. To określenie „niezależna” tu zaczyna jakby zawężać to. To był element kultury. I ta kultura niezależna, ta kultura zakazana, powiedzmy, zakazana, niedobrze widziana przez władzę ludową, była dla nas olbrzymim, olbrzymim wsparciem. To się nie tylko czekało. To się czekało i później to było śpiewane na naszych spotkaniach, to było nucone, na wyjazdach, przy ogniskach, wszędzie. To był ważny element naszego życia i to jest bardzo ważne też w ogóle, to nie jest przypadek, że pomimo zaborów Polacy przetrwali, właśnie dzięki kulturze, tylko prawdziwej kulturze. Bo dzisiaj mamy dużo też takiej antykultury, która w zasadzie ma cechę niszczącą, a prawdziwa kultura musi mieć cechę budującą.